

# ARKADIUSZ RYBICKI (1953–2010)



Wszystko zaczęło się jeszcze w liceum – gdańskiej jedyńce, gmachu z czerwonej cegły, z którego okien widać Stocznnię im. Lenina. Tam Arkadiusza Rybickiego, od niepamiętnych czasów nazywanego Aramem, poznał Aleksander Hall (ten sam rocznik, 1953). Byli kolegami z jednej klasy. Dlaczego właśnie ta, jedna z tysięcy, klasa stała się pod koniec lat sześćdziesiątych ośrodkiem uczniowskiej konspiracji, której przewodzili Aleksander Hall, Arkadiusz Rybicki, Grzegorz Grzelak, Wojciech Samoliński? Nie wiadomo, zaczęło się od rozmów o polityce, o interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Bez wątpienia kluczowym momentem były wydarzenia z grudnia 1970 r., choć pierwsze antykomunistyczne hasła malowali na murach jeszcze przed nimi, w roku 1969, nazywając się dumnie Frontem Wyzwolenia Narodowego. Chłopcy ze zwykłych gdańskich rodzin, stroniących od wszelkich politycznych zaangażowań.

Hall pamięta ówczesnego Rybickiego jako szczupłego nastolatka w okularach, z długimi włosami, słuchającego Led Zeppelin. Pochodził z rodziny robotniczej, miał liczne rodzeństwo, które pomimo zastrzeżeń rodziców później gremialnie zaangażuje się w jeszcze przedsięwziętą opozycję. Dla samego Arama chrztem bojowym był Grudzień '70. W pierwszych dniach zamieszek licealistów zamknięto w gmachu szkoły, ale siedemnastoletni Rybicki wymknął się przez okno na miasto. Na zaimprovizowanym wiecu przemawiał, tłumacząc robotnikom, że ważniejsza od cen żywności jest walka o wolność (został wygwizdany jako prowokator). Potem uczestniczył w ataku na budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Igrał z wielkim niebezpieczeństwem i nic mu się nie stało. Dwa dni później, gdy ich szkołę zmieniono w koszary ZOMO, wałęsał się z kolegami po ulicach i został zgarnięty przez milicję. W książce Piotra Zaremby<sup>1</sup> opowiadał po latach o surrealistycznej atmosferze panującej na komendzie przy Piwnej: „Rozgrywały się tam dantejskie sceny, ścieżki zdrowia, ściany zachlapano krwią. Zatrzymano mnie w ramach rewanżu, miałem czapkę uczniowską i trochę dłuższe włosy. Tłumaczyłem się funkcjonariuszowi rannemu w głowę, który co chwila zasypiał, potem budził się i pytał: gdzie byłeś, k..., mów, a wtedy drugi bił mnie pałką w brzuch. W końcu mnie wypuścili, choć połamali mi okulary – milicjant uznał, że są hipisowskie. Ale mnóstwo stoczniońców pałowano. Zomowcy ze Szczytina, z Piły, mieli za zadanie wp... Gdańskowi”.

Ten klimat stał się dla grupy rówieśników rodzajem rewolucyjnego uniwersytetu. Przez następne półtora roku organizują coraz bardziej brawurowe akcje malowania haseł (np. „Grudzień pomścimy”), rozrzucania ulotek produkowanych na jakiejś drukarce albo niszczenia tablic z oficjalną partyjną propagandą. Ich wyczyny nabierają coraz bardziej niezwykłego charakteru, na przykład jadą całą grupą kolegów do Warszawy z listem do stołecznych adwokatów wybranych na chybił trafił z książki telefonicznej. Oznajmniają w nim, że Polska jest pod rosyjską okupacją, więc trzeba coś z tym zrobić. „Chodziliśmy od skrzynki do skrzynki i wrzucaliśmy po dziesięć tych listów. Nawet nie znaleźliśmy Warszawy. Człowiek, który je wrzucał, nosił w maju rękawiczki, żeby nie było odcisków palców. Za nim szedłem ja. Wyglądaliśmy zapewne superpodejrzanie” – wspominał po latach. Według Wiesława Chrzanowskiego, wtedy szanowanego prawnika, ten tajemniczy list odbił się echem w świecie warszawskiej palestry. A wysłała go grupa gdańskich licealistów.

Stopniowo eskalują swoje metody działania, w końcu kupują na targu materiały wybuchowe i szykują się do wysadzenia pomnika Armii Radzieckiej. Rybicki jest w całej grupie najbardziej radykalny. Pod wpływem perswazji Halla udają się jednak do znanego dominikanina o. Ludwika Wiśniewskiego, który radzi im zamienić tę swoistą konspirację na samokształcenie. Przez następne kilka lat będą więc

<sup>1</sup> P. Zaremba, *Młodopolacy – historia Ruchu Młodej Polski*, Gdańsk 2000, s. 452.

grupą samokształceniową – najpierw pod opieką charyzmatycznego dominikanina w kościele św. Mikołaja, a potem jezuitę ks. Bronisława Sroki z kościoła na Wrzeszczu.

Grupa rozszerza się, gdy dzięki przeniesieniu się o. Wiśniewskiego do Lublina nawiązują kontakty ze studentami z innych ośrodków. Pochłaniają mnóstwo książek, głównie jeszcze tych oficjalnie wydanych. Kiedy dostają na kilka dni pożyczony tom dokumentów Armii Krajowej (wydanie zagranicznie), próbują go nawet przepisywać. W roku 1973 Rybicki zaczyna studia historyczne na Uniwersytecie Gdańskim. Doskwiera mu tam polityczna bierność kolegów. Na zajęciach z nauk politycznych samotnie spiera się z prowadzącą, usiłując dowodzić, że struktura PZPR przypominała strukturę NSDAP. Inni słuchacze udają, że nie słyszą, czytają pod ławkami kolorowe pisma.

Tym mocniej integruje go to z jego grupą wyrosłą z duszpasterstwa o. Ludwika. W roku 1976 razem z kolegami zbiera podpisy pod protestem przeciw poprawkom do konstytucji (wprowadzono do niej wtedy przewodnią rolę partii i przyjaźń z ZSRR), a potem pieniądze na pomoc dla więzionych robotników Ursusa i Radomia. Grupa działa początkowo na pograniczu różnych dopiero kształtujących się środowisk opozycyjnych, jest w niej na przykład Bogdan Borsewicz, który później zwiąże się z KOR. Jednak dawnym kolegom z duszpasterstwa o. Ludwika na ogół bliżej jest do ROPCiO, zwłaszcza do Leszka Moczulskiego. Szczególnie Rybickiemu, opisywanemu przez kolegów z tamtych czasów jako człowiek rozrywkowy, a zarazem bardzo tradycyjny katolik.

Przyjęcie takiej tożsamości było tym łatwiejsze, że grupa działała właściwie bez starszych opozycyjnych autorytetów, których w Gdańsku praktycznie nie było. Do wszystkiego dochodzili sami, bez lewicowych elit. Rybicki wyróżniał się wśród nich – obok Halla – szczególnymi zainteresowaniami historycznymi. Nic dziwnego, że gdy w 1977 r. nienosząca jeszcze żadnej nazwy grupa zacznie wydawać pismo „Bratniak” (adresowane w teorii głównie do studentów), od pierwszego numeru będzie pisał do niego teksty. A od numeru trzeciego stanie się jego redaktorem. Według zgodnej opinii to jego zdolności organizacyjne postawiły pismo na nogi.

To oznacza decyzję o zaangażowaniu się w całość pełni w opozycję. Już w roku 1976 podczas ślubu Rybickiego, koledzy odkrywają, że jeden z panów robiących zdjęcia nie należy ani do rodziny, ani do znajomych, ale jest po prostu przedstawicielem inwigilującego ich aparatu represji. Idący na wesele Rybickiego Marian Piłka zostaje uderzony przez esbeka, co opisuje zresztą Wolna Europa. Znajomi załamują ręce, pojawia się pierwsze dziecko, a mieszkanie młodego żonkosia jest nieustannie narażone na rewizje, zwłaszcza od kiedy on sam zaczyna zajmować się „Bratniakiem”. Po raz pierwszy Aram zostaje zatrzymany w grudniu 1978 r. przed obchodami rocznicy Grudnia. W celi spotyka Andrzeja Gwiazdę. Ten, doświadczony pobytem w ZSRR, spokojnie podkłada buty pod głowę i próbuje zasnąć.

Rybicki bierze z niego przykład. Według zgodnych relacji jest jednym z gdańskich opozycjonistów najspokojniej i najpogodniej reagujących na kolejne zatrzymania i represje. Nawet po latach delektował się anegdotami na ten temat. „Kiedyś na samokształceniowej akcji dla studentów w Bydgoszczy miałem wystąpienie, jak się zachowywać wobec SB. Mówię, co robić, jak zapukają do drzwi, a oni właśnie pukają” – wspominał. Nie tylko reaguje spokojem, ale często przechytrza esbeków, ratując egzemplarze pisma przed konfiskatą, a nawet sam śledzi śledzące go ekipy. Bawi się też składaniem skarg na swoich prześladowców, co przysparza niewydolnemu gierkowskiemu aparatowi dodatkowych frustracji. Równocześnie jednak, pomimo tego prawie rozrywkowego tonu, jakim o tym opowiada, płaci gigantyczną cenę. Nie ma stałej pracy (dorywczo zatrudniają go różni trójmiejscy księża). Nawet jego żona, polonistka, choć formalnie nieuczestnicząca w opozycyjnej działalności traci w końcu posadę w szkole, a podczas jednej z rewizji funkcjonariusze konfiskują jej egzemplarz pracy magisterskiej.

W roku 1978 po gorszącym rozłamie w środowisku ROPCiO (na zwolenników Andrzeja Czumy i Leszka Moczulskiego, który założył potem KPN) młodzi z „Bratniaka” postanawiają się uniezależnić i działać na własny rachunek. We wrześniu 1979 r. powołują do życia swoją organizację – Ruch Młodej Polski. Rybicki jest jednym z rzeczników (czyli liderów przy mało sformalizowanej strukturze) RMP. To wciąż małe (z żonami było nas parę setek, mawiał sam Aram), choć dzięki niezłej organizacji i własnemu piśmu wyraziste środowisko. W Gdańsku jest wręcz zdominowane przez klan Rybickich. W RMP działają bracia Arkadiusza – Mirosław i Sławomir (ten pierwszy w ważnej roli organizatora sekcji technicznej odpowiedzialnej za wydawanie nielegalnych druków), a także siostra Bożena. W przyszłości do

klanu wypadnie dodać narzeczoną, a potem żonę Mirosława – Magdę Modzelewską i narzeczonego, a potem męża Bożeny – Macieja Grzywaczewskiego.

Ruch Młodej Polski uchodził za formację endecką, głównie z powodu ideowych poszukiwań Aleksandra Halla, rehabilitującego na łamach „Bratniaka” myśl Romana Dmowskiego i dzięki duchowemu patronatowi Wiesława Chrzanowskiego. W rzeczywistości było to środowisko o wiele bardziej zróżnicowane, przemawiające na rzecz tradycji i ludowego katolicyzmu, ale nie zafiksowane na endeckich dogmatach. Aram Rybicki uważał się raczej za piłsudczyka i niepodległościowca. W Bratniaku bronił przede wszystkim bardziej pravicowej wizji historii Polski. „Z osobistych często przypadkowych kontaktów z ludźmi, którzy uważali się lub których myśmy uważali za przedstawicieli lewicy, wynieśliśmy obok wielu pozytywnych także wrażenia negatywne. Jednym z nich był sposób patrzenia na niedawną przeszłość historyczną właśnie przez pryzmat Berezy i niedemokratycznych praktyk. Był to obraz wysoce kontrastujący z naszymi odczuciami i wiedzą na ten temat” – przekonywał z pasją chłopaka jeszcze niedawno próbującego przepisywać grzecznie emigracyjne opracowania narodowych dziejów.

Był nie tylko jednym z ideologów, ale i towarzyskich symboli tego środowiska. „Myśmy byli bardziej od tańca, a oni od różańca, ale poczucie humoru braci Rybickich ogromnie nam opowiadało” – będzie wspominać Donald Tusk, który zetknął się z młodopolakami najpierw jako młodszy o parę lat członek grupy współpracującej z KOR na Uniwersytecie Gdańskim, a potem organizator środowiska gdańskich liberałów. W rytualnych meczach piłki nożnej między środowiskiem gdańskim i poznańskim RMP Rybicki gra oczywiście w drużynie gdańskiej nazywanej „piłsudczykami”. W meczach z liberałami strzela zawsze dużo bramek.

Równocześnie pozostał jednym z głównych menadżerów gdańskiej opozycji. Wiosną i latem 1980 roku współkierował w Gdańsku wielką akcją protestacyjną po pierwszej poważniejszej represji – zamknięciu na trzy miesiące do aresztu Dariusza Kobzdeja i Tadeusza Szczudłowskiego za organizację trzociąkowej demonstracji pod pomnikiem Sobieskiego. To on wymyślał urządzenia do rozrzucania przez okna setek ulotek. Ta kampania, będąca już zapowiedzią Sierpnia, połączyła RMP z takimi działaczami Wolnych Związków Zawodowych jak Lech Wałęsa. A modlitwy w gdańskiej katedrze, prowadzone przez Bożenę Rybicką i Magdę Modzelewską, znalazły potem swoją kontynuację w podobnych, organizowanych już podczas sierpniowego strajku.

Nic też dziwnego, że cała duża grupa młodopolaków na czele z Hallem i Rybickim jest obecna w strajkującej Stoczni praktycznie od początku. Aram był tym, który wraz ze swoim przyszłym szwagrem Maciejem Grzywaczewskim spisał 21 strajkowych postulatów na dwóch wielkich drewnianych płytach i zawiesił je na bramie zakładu. Po stworzeniu „Solidarności” to właśnie członkowie RMP stali się współpracownikami Wałęsy, organizującymi mu intelektualne zaplecze. Mieli podobne do niego zapatrywania: bardziej konserwatywne i równocześnie bardziej umiarkowane w kwestiach taktyki wobec peerelowskiej władzy niż ludzie korowskiej lewicy. A zarazem jako inteligenci nie stanowili dla niego konkurencji.

Od września 1980 r. Rybicki cały swój czas spędza w zatłoczonych salkach mieszczących centralę rodzącego się związku. Sam przedstawiał ten okres jako pionierski: „Nie mieliśmy żadnego doświadczenia, nigdy nie pracowaliśmy na etatach” – żartował po latach sam z siebie. Jest początkowo szefem sekretariatu Wałęsy, potem organizuje mu Biuro Informacji Prasowej Solidarności (BIPS), będące czymś w rodzaju agencji informacyjnej z dużymi ambicjami. Tą samą drogą idą liczni inni młodopolacy, m.in. Grzegorz Grzelak, Maciej Grzywaczewski czy Andrzej Jarmakowski. Siostra Rybickiego Bożena zostaje nawet jedną z sekretarek przewodniczącego, dbającą o jego kalendarz.

Młodopolacy odgrywają pewną rolę choćby w dawkowaniu informacji związkowym działaczom podczas kryzysu bydgoskiego (tak, aby wesprzeć wałęsowski kompromis z władzami), czy podczas zjazdu w Hali „Olivia”. Ale natykają się na skuteczną konkurencję ludzi z innych środowisk, choćby dobrze postrzeganego przez Wałęsę Andrzeja Celińskiego lub postaci pochodzących znikąd jak kierowca Mieczysław Wachowski. Ich wpływy są spore, a jednak zawsze zależne od woli szefa szefów. Według ciekawie analizującego tamte czasy Lecha Kaczyńskiego, aparat związku nie mógł mieć w ostateczności zbyt silnej pozycji. Za wielki był stopień wewnątrzwiązkowej demokracji i zbyt duże tempo następujących po sobie zdarzeń.

A zarazem Rybicki, do którego mieszkania wymienianego w stopce jako redakcja „Bratniaka”, zaraz po zakończeniu sierpniowego strajku przyszli robotnicy ze Świdnika zamówić 5 tys. egzemplarzy, w dużej mierze porzucił wtedy pracę w RMP. Przestał pisywać do ukochanego przed Sierpnem pisma, zrezygno-



wał z funkcji rzecznika Ruchu. „Wydawało nam się, że możemy realizować nasze cele w związku, bo cała »Solidarność« była narodowo-katolicka” – wspominał. Sam z większą pasją niż o ideowych rozterkach swego środowiska opowiadał o rywalizacji z Agencją Solidarność (czyli tak zwanym Asem) zdominowaną przez takich ludzi korowskiej lewicy jak Helena Łuczywo i Seweryn Blumsztajn. Ale także i o tym, jak to wydebił dla BIPS od kierownictwa związku trzy samochody („Tym studenciakom przewróciło się w głowach”, narzekali robotniczy szefowie regionów). Albo jak podczas zjazdu w „Olivii” sprzedawał z kolegami zachodnim dziennikarzom informacje za dewizy, łamiąc peerelewskie prawo.

W ostateczności współpraca z Wałęsą przynosiła nie tylko przyjemne doświadczenia. Z biegiem czasu młodopolacy nauczyli się nazywać go Bokassą, a tak spokojny i cierpliwy człowiek jak Rybicki miał go serdecznie dosyć. „Wałęsa był trudnym człowiekiem, potrafił sponiewierać najbardziej oddaną osobę. Mnie chyba lubił, bo pochodziłem z tradycyjnej wielodzietnej rodziny. Ale nasyłał na pracowników związku idiotyczne kontrole, a kiedy przyszedłem powiedzieć, że ludzie z BIPS się buntują, chodziło o sprawy pracownicze, powiedział krótko: wyp... ich” – to jego relacja pochodząca z końca lat dziewięćdziesiątych.

Ostatecznie te napięcia, także plotki o agenturalnych uwikłaniach Wałęsy o mało nie doprowadziły do rozstania młodopolaków z gorąco przez nich popieranym przewodniczącym, choć te zatargi zawsze były w ostatniej chwili jakoś kłajstrowane. Ten węzeł gordyjski został przecięty wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Rybicki był tym człowiekiem, który słysząc już co się święci, pojechał do Lecha Wałęsy, ten zaś zdecydował się jednak zostać w swoim mieszkaniu. Potem sam Rybicki został aresztowany w budynku związkowej centrali na Grunwaldzkiej. Jak sam opowiadał, kiedy ZOMO szturmowało drzwi, próbował jeszcze alarmować gdańszczan przez megafon. Anemiczne protesty ludzi stojących po drugiej stronie ulicy pod sklepem mięsnym w oczekiwaniu na jego otwarcie uświadomiły mu w jednej chwili kruchość społecznego poparcia dla „Solidarności”.

Przewieziono go wraz z wieloma znanymi związkowymi działaczami (m.in. Jackiem Merkle, Karolem Modzelewskim, Lechem Kaczyńskim) do obozu dla internowanych w Strzebielinku. Wyszedł stamtąd 15 października 1982 r. W obozie internowanych odrzucił podszepty Służby Bezpieczeństwa, która chciała skłonić działaczy RMP, jako ludzi o narodowych i równocześnie umiarkowanych poglądach, do jakiejś formy współpracy z władzą. Z drugiej strony jednak kwestionował sens podtrzymywania wielkiego solidarnościowego podziemia (zgodnie z naukami „realisty” Wiesława Chrzanowskiego) i zachęcał swoich krewnych i znajomych z RMP, aby wychodzili na powierzchnię. To wykopało chwilową przepaść między nim i szefami podziemnej „Solidarności”, takimi jak Bogdan Borsewicz czy Bogdan Lis.

Po latach ten pierwszy będzie po części usprawiedliwiał nastawienie Arama wzajemną nieufnością między starą przedsierniową i nową solidarnościową opozycją. Ale sam Borsewicz dokonał innego wyboru, znajdując wśród historycznych przywódców RMP wspólny język jedynie z Aleksandrem Hallem. Niewątpliwie ta ówczesna decyzja młodopolaków, wśród których Rybicki był wielkim autorytetem, budziła kontrowersje tak bardzo wyczuwalne w wywiadach liderów solidarnościowego podziemia zamieszczonych w „Konspirze”. Trwają one zresztą do dziś.

Po uwolnieniu Rybicki nie pozostał bierny. „Jak można mówić, że porzucił »Solidarność«, skoro właśnie jej się poświęcił? – denerwuje się przedstawiciel młodszego pokolenia RMP Wiesław Walendziak.

Dawny szef BIPS zgłosił się do Lecha Wałęsy, chcąc wspierać jego działalność na powierzchni, na pograniczu dwóch światów – legalnego i nielegalnego. „On szedł do pracy w stoczni, a ja przychodziłem do jego domu o 11 rano – załatwiałem pieniądze na działalność, przygotowywałem przemówienia, spotykałem się z ludźmi. Potem szedłem na plebanię do ks. Jankowskiego, gdzie Wałęsa udzielał wywiadów. Tak to trwało do 1988 r.” – z charakterystyczną dla siebie spokojną precyzją rekonstruował swoje ówczesne zaangażowania. Kilka razy SB zatrzymywała go za nie, choć w zasadzie coraz wyraźniej godziła się ze szczególnym statusem Wałęsy.

Pracował w tym czasie w doborowym gronie – w nieformalnym sztabie Wałęsy byli w różnych okresach Jacek Merkel, Piotr Nowina-Konopka, Lech Kaczyński, po ujawnieniu się także Aleksander Hall. Choć poszli potem różnymi drogami, przedstawiali zawsze ten zespół jako względnie zgodny, a wspólną pracę jako sensowną. Rybicki pozostał równocześnie jednym z patronów środowiska Ruchu Młodej Polski, uczestniczył w kolegiach jego głównego pisma „Polityki Polskiej”, przyjeżdżał też do Warszawy na spotkania klubu Dziekania, szukającego pod patronatem Kościoła jakichś realistycznych form działania w PRL, a równocześnie przecierającego drogę różnym nurtom prawicy. W tamtych czasach nie pisał już jednak programowych artykułów jak w latach siedemdziesiątych. Stał się raczej cichym organizatorem cudzego sukcesu, pracującym lojalnie przede wszystkim na Wałęsę.

W sporach wewnątrz swojego środowiska coraz częściej popierał Halla. Z jednej strony sprzyjał bardziej liberalnemu nurtowi „gdańskiemu” pozostającemu w sporze z poznaniakami (Marek Jurek, Krzysztof Nowak, Piotr Mierecki), którzy chcieli zwrotu ku masowemu ruchowi narodowo-katolickiemu. Z drugiej, w roku 1988 wraz z innymi gdańszczanami poparł strajki w Stoczni – majowy, a potem sierpniowy, uznając walkę o „Solidarność” za najpoważniejszą formułę działania dla opozycji. W tym czasie wielu młodopolaków, zwłaszcza spoza Gdańska, uznawało związkową drogę uwalniania się z komunizmu za anachroniczną i „nieprawicową”.

Jego relacje z Wałęsą, który lubił go najbardziej ze wszystkich młodopolaków, nadal pozostawały nieproste, głównie z powodu charakteru tego ostatniego, przy czym spory nie zawsze dotyczyły polityki. Przewodniczący nie raz i nie dwa próbował na przykład zmuszać swoich wieloletnich politycznych współpracowników do upokarzających posług na rzecz jego i jego rodziny. Aram nie wytrzymał, gdy dostał polecenie skopania ogródka przewodniczącego. Przeszedł do niego przychodzić jeszcze na wiele miesięcy przed okrągłym stołem. Mimo wszystko wróci do Wałęsy raz jeszcze, podczas kampanii prezydenckiej 1990, i zostanie nawet ministrem w jego kancelarii. Ale znów odejdzie, tym razem ostatecznie, wypchnięty z kancelarii przez rosnące wpływy Wachowskiego.

W latach dziewięćdziesiątych stał się przede wszystkim kustoszem tradycji Ruchu Młodej Polski, szczególnie jego najbardziej heroicznego okresu. To on organizował w Gdańsku obchody kolejnych rocznic i inspirował poświęcone historii RMP publikacje. Jego narastający konflikt z IPN był w moim przekonaniu komedią omyłek. Rybicki dopatrywał się w tekstach niektórych badaczy poświęconych historii opozycji zbyt nonszalanckiego czy insynuacyjnego tonu, ale w rzeczywistości różnice co do faktów były niewielkie. Sam pozostał powściągliwym, wycofanym człowiekiem, także jako polityk Partii Konserwatywnej, Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego, a w ostatnich latach – Platformy Obywatelskiej. Gdy ktoś z nim rozmawiał po raz pierwszy, nie mógł uwierzyć, że ten cichy, choć obdarzony szczególnym poczuciem humoru, szpakowaty pan jako licealista wzywał z robotniczej barykady do wystąpienia przeciw rosyjskiej potęgze, bo to ona odpowiada zarówno za Katyń i brak wolności, jak i za pustki w sklepach. Jego śmierć podczas podróży do Katynia, ma tu raczej Aleksander Hall, jest więc z tego punktu widzenia szczególnie symboliczna.